№ 46.

Warszawa, dnia 14 Listopada. 1863 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

USTĘP

Z ŻYCIA

ELŻBIETY DRUŻBACKIEJ.

(Dokończenie)

Słowa te, wyrzeczone tonem dobrotliwym, silne uczyniły wrażenie na Elżbiecie; twarz jéj szybko przemijającém oblała się znów rumieńcem, oczy zaiskrzyły łagodnym owym ogniem wewnętrznym, który bywa najbezpośredniejszą oznaką artystycznego tworzenia, a młoda dziewica, zapominając o liczném gronie obecnych, których wszystkich oczy w nią więcéj, niż w króla były wlepione, ku wielkiemu zdumieniu swych towarzyszek, znających zwykłą jéj skromną lękliwość, uczyniła śmiało parę kroków naprzód. W tém zgiąwszy kolano i powstawszy znów w kornéj, ale opromienionéj poetycznym zapałem postawie, dobitnym, acz cichym głosem w te odezwała się słowa:

Cieszcie się, Wieki! żeście doczekały
Nie znać Gradywa nad sobą tyrana
Częstoście w twardych okowach jęczały,
Ciężkim robotom podległe Wulkana,
Rdza wam ramiona przejadła do szpików,
Pług w jarzmie wodził wolnych niewolników.

Teraz znać Jowisz złotym deszczem lunął,
Na opłokanie rdzy z żelaznych czasów!
Paktol swe piaski drogie gdy podsunął
Skrzypiących przykro pozłocił zawiasów,
Że miła cichość z pokojem, w otwarte
Wchodzi granice, nie pyta o wartę.

Komuż to przyznać, co wiek złoty wrócił?
Bogu! bo ten sam Panem jest pokoju,
Wojnę i niechęć domową ukrócił,
Że Polska w strasznym nie nurza się zdroju.
Sarmacka niwa by nie była krwawa,
Dał jéj dozorcę króla Stanisława!

W czém sobie dotąd słodzą wieki starsze,
Miłość poddanych, pokój, wolność złotą,
Co wdzięczne serca Tytowi monarsze,
W drukarskich prasach pamięć wieczną gniotą,

To ja dziś wszystko w panującym królu
Znajduję szczęście, na Sarmackiém polu.

Przy Twoich rządach, Najjaśniejszy Panie,
Mars i Bellona są wygnani z granic,
Dobroć z hojnością za czas złoty stanie,
To nam niechętnych trzeba ważyć za nic;
Każdyć posłuszną głowę do nóg skłoni,
Gdy nas jak Ojciec piastujesz na dłoni!

Więc gdy tak wieki przy Tobie szczęśliwe,
Że pokój kwitnie, mądrość wprowadzona,
Niechże Cię serca zawdzięczą życzliwe,
Życząc, by trwała w domu Twym korona!
Krwi Stanisława prześwietna Linija,
Niech polskie pola z koroną nie mija!

Lubo nacechowane po części przesadnym duchem czasu i ztąd trudniéj pomimo lekkich, uczynionych tu przez nas zmian, dziś już mogące nam trafić do smaku, wiersz ten widocznie jednak pochodził z serca poetki i rzeczywistym był owocem jéj chwilowego natchnienia; snadno też znalazł drogę do serc słuchaczy. W miarę jak Elżbieta daléj mówiła, uczucie brało w niéj górę nad wrodzoną lękliwością i ostatnie już zwrotki mówiła głośno, a z taką zarazem i rzewnością i siłą, z tak dźwięczném nagięciem srebrzystego głosu, że gdy w ostatnim dwuwierszu wyraziła życzenie, żeby ród Stanisława na tronie polskim na zawsze się zdołał utrzymać: lubo życzenie to, w owych szarpanych stronnictwami czasach, w niejednéj duszy byłoby na zimno znalazło gwałtowny opór, a wkażdym razie sprzeciwiało się złotéj wolności elekcji, przecież jakby chórem wszyscy cisnąc się do króla i do wieszczki, krzyknęli: Wiwat! Niech żyje król Stanisław!

Oko króla zwilżyło się, twarz jego okazywała najwyższe wzruszenie. Któż powié, jaki w téj chwili przed wewnętrznym zmysłem duszy jego przesuwal się obraz? Może wspomniał szczęśliwą mierność dawniejszą, pełną trosk świetność dzisiejszego położenia, może przeczuwał klęski najdroższéj ojczyzny w straszliwéj wojnie bratniéj, któréj mimowolną kiedyś miał stać się przyczyną. Ale się wnet opamiętał i przystąpiwszy do Elżbiety, która znowu przyklękła i podaną sobie dłoń królewską gorąco ucałowała, na pięknem jéj czole wzajemny położył pocałunek.

— „Dzięki Wam, czcigodna Panno Elzbieto! rzekł, i dzięki wszystkim tu zebranym! Nie spodziewaliśmy się zaprawdę tak serdecznie tu zostać powitani przez błyszczącą Muzę sarmacką. Rzeczpospolita przez nasze usta składa również podziękowanie J.W. Pani krakowskiej, że jéj tak wdzięczny wypielęgnowała kwiatek. A teraz, dodał po chwili, jeżeli nam pozwolić raczycie, przyjmiemy ofiarowaną nam życzliwie gościnność i chętnie udamy się na spoczynek, który nam po doznaném tak miłém wrażeniu teraz tém bardziéj jest potrzebny.”

Na te słowa tłum rozstąpił się z uszanowaniem, paziowie z światłem ugruppowali się przy podwojach, a wojewoda Łęczycki, wziąwszy z rąk jednego z nich świecznik i stanąwszy przed nim, ze czcią pochylony:

— „Na Waszéj Królewskiéj Mości rozkazy, rzekł, wszystko gotowe! Czekam najmiłościwszego skinienia.”

Król Stanisław uprzejmie wszystkich pożegnawszy, odprowadzony przez panią zamku do wspaniale przystrojonego kwiatami westybulu, z którego prowadziły schody na drugie piętro, poprzedzony przez pana wojewodę i paziów, zresztą wtowarzystwie trzech tylko bliższych swych dworzan, udał się do wyższéj części zamkowéj. Tu były sławne owe pokoje, *złotemi* zwane, zupełnie do tych podobne, które znajdują się w królewskim zamku Krakowskim; też malowidła, też głowy sławnych ludzi roboty snycerskiéj, też drogie makaty i obicia zdobiły ściany. W obszernéj sypialni, sufit na płótnie malowany wyobrażał tryumf Bachusa. Król Stanisław mile był zdziwiony tą pełną attencji niespodzianką; na jego to bowiem widocznie przybycie, wykończono z pospiechem rozpoczęte już od lat kilku przez najsłynniejszych sztukmistrzów dekoracje. Po krótkiéj jeszcze, pełnéj łaskawych wyrazów rozmowie z panem wojewodą Łęczyckim, ten ostatni pożegnał monarchę i zostawił go samego z dworzanami, pozostałemi dla osobistéj króla posługi. Między niemi był także młody Szymon Drużbacki, skarbnik Żydaczewski.

— „Nie podziękowałem wam jeszcze z osobna, panie skarbniku, odezwał się król po krótkiéj pauzie, podczas któréj dworzanie zdejmowali z niego pas i karabellę, siadając na zdobnym w królewskie i rodzinne jego herby dywanie, nie podziękowałem wam jeszcze za miłą przyjemność, któréj dzisiejszego wieczora doznałem. Gdyby nie wy, anibym się domyślił, jak wielki skarb poetycki w tych stronach się mieści. Ale jeśli mnie resztka téj mojéj domyślności nie myli, nie bez tego zapewne, żebyście wy jakich płodów téj pięknéj muzy nie znali i w wiernie kochającéj pamięci nie przechowywali. Będę wam szczerze rad, jeżeli się niemi ze mną podzielić zechcecie.“

— „Nie tylko w pamięci, najmiłościwszy królu, ale i w sercu i na sercu nawet chowam ten drogi dar, jakim mnie niedawnym czasem Jmć Panna

Sędzianka Bydgoska zaszczyciła. Opisując jéj teraźniejszą moją w Rzemieniu nad Wisłoką siedzibę, wyrażałem obawę, czyli potrafi sobie upodobać te smętne strony, w których olbrzymie lasy zbyt skąpo jeszcze urodzajnemi polami są poprzegradzane; oddawna już bowiem dusze nasze mają się ku sobie, a jeżeli śmiem o rzeczy tak błahéj wspominać przed Waszą Królewską Mością, to dlatego jedynie, by być posłusznym Jego rozkazom i przeczytać prześliczny ten utwór, który mi jako odpowiedź przysłała i który stale odtąd, jako świętość, na piersi méj przechowuję."

To mówiąc, pan Szymon wydobył z zanadrza starannie złożony pargamin, z którego wyjąwszy pismo Elżbiety, następujące jął cytować wiersze:

Zważywszy życia ludzkiego obroty,
Uchodzę w lasy i wesołe knieje,
Mając w nich więcéj gustu i ochoty;
Niech kto chce, z mojéj dzikości się śmieje,
  Nie dbam nic na to, wolę z méj prostoty
  Las, aniżeli świat pełen niecnoty.

Lasy kochane, zielone chłodniki!
Drzewa, przyjemny szum dające z siebie!
Trawy, pagórki, biegące strumyki!
Przy was niech mieszkam, choć o suchym chlebie!
  Zdrowszy mi napój z naszych źródeł żywych,
  Niż drogie trunki, gdy z rąk nieżyczliwych!

Jak ranna zorza swój rumieniec śliczny,
Pokaże, rosa perłowe kropelki
Pozbiera, jużci pasterz okoliczny
Nie zaśpi, a ptaszek wyśpiewuje wszelki;
  Ci, trzody owiec żeną między wrzosy,
  Te mokre skrzydła otrzepują z rosy.

Wnet różnych głosów stroją instrumenta,
Po drzewach skacząc wysoko, to nisko;
Krzykną roślejsze i drobne ptaszęta,
Bezpieczne chociaż słuchamy ich blisko,
  Za nic koncerty i włoskich nut sztuki,
  Ich milsze głosy bez mistrza nauki.

Usiędziem sobie pod jaworem ciemnym,
Nad czystém źródłem pryskającéj wody;
Ze skał fontanny natura foremnym
Kunsztem zrobiła pasterzom ochłody;
  Nic nam słoneczny upał nie dokuczy,
  Jawor zaszumi, a strumyk zamruczy.

Zaczniemy mówić o naszych zabawach,
Na czém dzień cały przeminie godziną;
O pięknem kwieciu, w jakich rośnie trawach;
Ja powiem: jest tu miejsce nad doliną,
  Na którém kwiaty w rozliczne kolory
  Rosną, posiane od bogini Flory.

Szczera wesołość, śmiech, żarty niewinne
Nikogo zgorszyć, owszem cieszyć mogą;
Prostoty naszéj niech się uczą inne,
Przystojnych zabaw z nami idąc drogą
  Com wzięła z sobą, wybieram z koszyka,
  Jemy zeń z chlebem i masło z jaszczyka.

Po tym bankiecie chcący trunku zażyć,
Spieszno biegniemy do naszéj piwnicy,
Którą nad winne więcéj trzeba ważyć,
Czystéj jak kryształ pod skałą krynicy;
  Z téj co dzień dzbanem pijąc nie ubywa,
  W pełni zostaje, choć nikt nie doléwa.

Gdy już z południa słońce niezbyt grzeje,
Wychodzim z gęstych lasów na krzewiny,
Tam, gdzie chłód miły od pagórków wieje,
Igramy sobie pomiędzy jedliny,
  Patrząc przez niskie krzaczki i jałowce,
  Czy dobrze nasze napasły się owce.

— „A toć przecudna ekloga, zawołał król, godna pióra Bionów i Teokrytów! Winszuję ci zacny skarbniku, takiego skarbu, takiego w lasach twoich przy boku takiéj połowicy pożycia! Nie odjadę ztąd, żebym nie przyłożył się do spełnienia czynnie gorących życzeń nadobnéj Elżbiety. Jutro zaraz będę wam swatem u J.W. Kasztelanowéj krakowskiéj, która, tak spodziewam się prośbie méj nie odmówi. Wesele odbędzie się w kaplicy zamkowéj w Krakowie, na które wszystkich gości Brzeżańskich zaproszę. Największa to podobno, może jedyna uciecha korony, że poezję potrafi do siebie przywiązać!

Pan Szymon w głębokiém rozrzewnieniu łkając cicho ukląkł przed uwielbionym monarchą, a nazajutrz w zamku w Brzeżanach huczne grzmiały wiwaty szczęśliwych zaręczyn.

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Dziś przed południem zwiedziłem pałac Pompejański księcia Napoleona na polach Elizejskich, a widok ten tak miłe, a zarazem przejmujące zrobił na mnie wrażenie, że umyśliłem niém podzielić się z Czytelniczkami Tygodnika.

Jest to najwierniejsza z istniejących kopji ówczesnych willi patrycjuszów rzymskich. Dom niewielki tworzy kwadrat próżny w środku; uformowane w ten sposób podwórze u Starożytnych nazywało się *atrium* i było zazwyczaj najpiękniejszą częścią budynku. *Atrium* księcia Napoleona, wyłożone mozaiką, otacza w koło szeroka, wsparta na kolumnadzie galerja, któréj cała ściana jest malowana

al fresco; między kolumnami stoją posągi przodków, w środku bije obfita fontanna, przepysznie z białego marmuru wyrobiona.

Przed bramą domu leżą dwa wielkie psy mozaikowe; we drzwiach stoją ulane z bronzu posągi Achillesa i Minerwy. Sień, w któréj rozchodzą się schody, zdobią dwa wielkie freski allegoryczne, jeden przedstawia Jesień usypiającą w objęciach Zimy, drugi Wiosnę wieńczącą kwiatami Lato; freski zdobiące *atrium* są wierną kopją pompejańskich. Pan Corna, malarz księcia, zdejmował je na miejscu i mianowicie twarze bogów i bogiń przerobił ze ślepém dla Starożytnych posłuszeństwem. Widziemy najprzód Jowisza rzucającego pioruny na Tytanów: jeden z nich, strącony ze szczytu piramidy, po któréj piął się do nieba, kona w śmiertelnych konwulsjach. Rzecz dziwna, że wszyscy starożytni malarze dawali swym bogom wyraz dziwnie powszedni; pompejański Jowisz np. wygląda jak rozgniewany kramarz z ulicy St. Denis, ciskający kupczykowi na głowę funt świéc łojowych.

Fryza nad tym freskiem wyobraża Prometeusza, stwarzającego człowieka pod natchnieniem Minerwy. Drugi przedstawia Słońce wyjeżdżające na swym rydwanie; gwiazdy, w postaci małych dziatek, pierzchają przed nim i przestraszone wpadają w morze. Naprzeciw Słońca stoi na skale przejęty uwielbieniem Satyr.

Daléj jest zdobycie Troi. Eneasz, zakuty w żelazo, niesie na barkach Anchizesa. Ajax porywa klęczącą przed posągiem Minerwy, Kassandrę, w jednéj ręce trzyma miecz, drugą wplątał we włosy wróżki. Obok Pyrrus zamierza się maczugą na Pryama. Powiédzmy nawiasem, że dwaj bohaterowie Homerowi: Ajax i Pyrrus, wyglądają jak dwaj opaśli rzeźnicy.

Następny fresk przedstawia narodziny Wenery. Bogini jedną nogą stojąc na muszli, wypływa z morza. Włosy jéj złote jak zboże, a piękne jak jéj ciało w zupełnym rozkwicie. Jowisz i Neptun patrzą na nią zachwyceni. Eros i Anteros, uosobienie wojen, które powaby rodzącéj się bogini mają wywołać na ziemi, kłócą się na uboczu, Chimeron całuje stopy nowo-narodzonéj. Fryza wyobraża Wenus dającą Helenie rady, zapewne nie bardzo zbawienne dla spokoju szlachetnego Menelausa. Helena siedzi ze spuszczoną głową, słuchając z uśmiechem słów bogini.

Wszystkim tym mitologicznym postaciom mieszkaniec Pompeji zarzuciłby zapewne zbytnie uduchowienie rysów; my, dzieci dziewiętnastego wieku, gotowibyśmy uczynić zarzut wprost przeciwny.

Pomiędzy kolumnami galerji stoją popiersia: matki rodu Bonapartów Letycji, Katarzyny Würtembergskiéj, Lucjana, Ludwika i Józefa Bonapartych, oraz siostr ich: Elizy, Karoliny i Pauliny. W środku rodzinnego grona wznosi się posąg marmurowy Napoleona Wielkiego.

Bibljoteka, salon i jadalnia mało się różnią od naszych; Starożytni pracowali, jedli i pili prawie tak samo jak my. Sześćdziesiąt pokoleń ludzkich nie wymyśliło ani jednéj więcéj przyjemności nad te, które dała człowiekowi natura. Za salą jadalną jest *tabaczarnia*; pokój ten, urządzony w guście wschodnim, zdziwiłby zapewne Dyomeda, ale był niezbędną w domu rzymskim poprawką. Za nim są oranżerje pełne rzadkich roślin południowych, a za niemi łazienka, cud wygody i piękności. Wannę zastępuje jeziorko w karraryjski marmur oprawione, w którego pachnącéj wodzie pływać może wygodnie dwóch ludzi. Dom cały ogrzewają kaloryfery, które architekt włoski, wstydzący się za klimat północny, pochował do piwnicy.

Pałac ten pod każdym względem zasługuje na uwagę artystów; jest on prawdziwą ozdobą pól Elizejskich. Życzyćby należało, ażeby architekci pracujący obecnie nad przebudowaniem Paryża, jak najwięcej smakiem pięknością i wygodą pałacu księcia się przejęli. Pominąwszy już korzyść, jakaby ztąd wynikła dla lokatorów dziś okrutnie wędzonych w klatkach ich przeklętéj inwencji, wartoby pomyśléć zawczasu, że jeżeli los Rzymu Paryżowi przeznaczony, Paryżanie powinni zostawić przyszłym pokoleniom coś więcéj nad powszednie ruiny, z którychby archeologowie wysnuli ten smutny wniosek, że Francuzi byli narodem, który za młodu czcił wolność, sprawiedliwość, sławę i sztuki, ale na starość kochał tylko pieniądze.

Na inném wprawdzie polu, francuzcy uczeni sprawy nie zasypiają i obok dokonywającego się już z takiém powodzeniem olbrzymiego przedsięwzięcia przebicia kanału przez międzymorze Suez, na serjo teraz znowu występują z projektem podmorskiego tunelu, mającego Anglję połączyć z Francją. Twórcą tego projektu jest p. Thomé de Gamond, a popierał go zarówno rząd tutejszy, jak angielski; wszakże po bliższém i wszechstronném rozważeniu całego planu, pojawiają się teraz zewsząd propozycje do ulepszeń, z których najwięcéj podobno szansy ma poprawka p. Boyd'a inżeniera angielskiego, który opierając się na dowiedzionéj przez p. Thomé możności usypania w cieśninie kaletańskiéj kilkunastu małych wysepek, mających służyć do budowy tunelu, zapropo-

nował, żeby zamiast tunelu zbudować most na cieśninie.

Projekt ten, rozwinięty szeroko, wydał się ludziom specjalnym łatwiejszy do wykonania od pierwotnego; Francuzi sami przyznają mu wyższość. Monitor obszerniéj się o nim rozpisał i gorąco plan Anglika popiera. Boyd proponuje rzucić most od Duwru do portu francuzkiego przylądka Griner. Długość jego wynosiłaby blisko 4 mile polskie; dzieliłby się na 191 części, długich po 500 stóp ang., których oba końce spoczywałyby na murowanych wieżach. Most byłby w kształcie szklannéj galerji, w środku któréj szłyby dwie drogi żelazne. Galerja, zawieszona na 300 stóp nad morzem, byłaby dość wysoką, żeby nawet w czasie przypływu wody najwyższe okręty (217 stóp wysokie) mogłyby pod nią przepłynąć. Wielkie latarnie i telegrafy elektryczne czyniłyby podróż bezpieczną podczas mgły na morzu panującéj. Filary, czyli wieże most podpierające, zbudowane w kształcie głowy cukru, u dołu mają być 300 stóp szerokie, a na powierzchni morza 150; na téj podstawie budować się ma daléj filar o 100 stopach średnicy. Koszta téj budowy obliczył p. Royd na 750 miljonów franków, a na wykonanie jéj potrzebuje tylko trzy lata. W każdym razie, gdybyśmy nawet ten projekt uważać chcieli tylko za mrzonkę, to i tak zasługuje on na prawdziwe uznanie, bo wszelkie marzenia wiedzy są szczytne, a jedyną poezją istotnie dziśczesną jest *poezja nauki.*

Paryż, d. 7 Listopada.

*

Obrzędy religijne w starożytnym Meksyku.

(Dalszy ciąg).

Zastanawiając się nad tém cośmy o starożytnych mieszkańcach Meksyku powiedzieli, możnaby mniemać, że to był lud dobrotliwy ożywiony braterską miłością. Ale jakże jest słabą natura człowieka, jakież sprzeczności gnieżdżą się w jego sercu i umyśle! Te miłosierne uczucia i obrzędy, ta ludzkość i sprawiedliwość, ten wzgląd dla kobiet, łączyły się z zabijaniem ludzi na ofiarę i z biesiadami ludożerczemi. Mnóstwo ludzi poświęcano na ołtarzach bogów i uroczyście pożerano ciała ofiar. Pojąć nie można, jak to się stało, że te obmierzłe obrzędy nie były u nich zabytkiem barbarzyństwa przechodzącego z pokolenia do pokolenia, ale rozwinęły się ze wzrostem cywilizacji. Im bardziéj rozwijały się u nich przemysł i sztuki, tym namiętniéj wykonywali te barbarzyńskie i srogie obrzędy. Możnaby powiedzieć, że ich do tego zachęcał jakiś duch piekielny i łatwo pojmujemy, że Hiszpanie przekonani byli o ich bezpośrednim związku z szatanem.

Zastanawiając się jednak nad tém bliżéj, przyznać musiemy, że te ofiary zrodziły się z pojęć w gruncie swoim dobrych, lecz skrzywionych brakiem światła ewanielicznego i gwałtownemi namiętnościami. Meksykanie uważali pobyt człowieka na ziemi, jako oczyszczenie i próbę, mniemali że na ziemi wszyscy cierpią i potrzebują okupienia. Utworzyli więc sobie wyobrażenie wspólne innym narodom, że bóstwo uspokaja się ofiarą krwi, że krwią odwraca się gniew bogów a zyskuje się ich przychylność. Jeden z kacyków rozmawiając z Kortezem rzekł:

— „Moi ziomkowie nie wyobrażają sobie rzeczywistéj ofiary, jeżeli człowiek nie umiera dla drugich.“

Ta religijna idea o działalności krwi przelanéj na ołtarzach, wspólną była wszystkim starożytnym ludom stałego lądu. Krew, źródło życia, uważano za najmilszą ofiarę dla rozgniewanych bogów, i dlatego wszędzie i zawsze przed Jezusem Chrystusem, krew ludzka płynęła na cześć bogów wbrew rozumowi i uczuciu. U Rzymian, Greków i innych wykształconych ludów starożytności, zastępowano ją często krwią zwierząt, bez krwi jednak ofiara odbyć się nie mogła. Tak więc ludożercze ofiary Meksykanów, wzięły początek z uczucia, wspólnego całemu rodowi ludzkiemu o upadku i odkupieniu, lecz uczucie to i prawda pierwotna, spadły aż do stanu zgnilizny i barbarzyństwa.

Na obronę jednak Meksykanów powiedzieć należy, że nie bez oporu zgodzili się na ofiarę z ludzi. Wielki ich król, o którym już mówilismy Nezahualcoyotl, przez długi czas opierał się tym rzeziom, postawił świątynię nieznanemu Bogu, przyczynie wszystkich przyczyn, zakazał ofiar ludzkich, a nawet zabronił rozlewu krwi zwierząt. Po jego śmierci na 50 lat przed przybyciem Korteza, świątynie znowu się krwią zbroczyły i mnogością walczyły z sobą o pierwszeństwo.

Ten fakt zasługuje na uwagę, że w miarę wzrostu państwa Azteków i udoskonalenia ich cywilizacji, powiększała się liczba krwawych ofiar. To samo postrzegamy w historji rzymskiéj; krwawe igrzyska cyrkowe, walki gladjatorów, nabrały większego rozwoju za cesarzów obok zbytków i miękości obyczajów. Toż samo widziemy w prześladowaniach i rzeziach za religję, które w XVI i w XVII wieku daleko były większe, niżeli

w pierwszéj i drugiéj epoce chrześcijaństwa. Nareszcie terroryzm Marata i Robespierra panował wtenczas, kiedy ogłaszano zasady postępu i ludzkości.

Nigdy jednak w Meksyku nie padło tyle ofiar ludzkich, co za panowania ostatniego Montezumy. Zabobonny ten władca, uległy kapłanom i dręczony złowieszczemi przeczuciami, mniemał, że krwią przelaną na ołtarzu, odwróci złowieszcze groźby. Towarzysze Korteza obliczyli czaszki, ustawione w kilku świątyniach jako trofea, i było ich aż 130,000. Podług bardzo umiarkowanéj rachuby, zabijano rocznie dwadzieścia tysięcy ofiar.

Na lat 30 przed zdobyciem Meksyku, przy poświęceniu jednéj z wielkich świątyń, zamordowano 70,000 ofiar jedna po drugiéj, które zgromadzano przez lat kilkanaście we wszystkich częściach państwa. Rzeź trwała dni kilkanaście bez przerwy, a szereg tych nieszczęśliwych ciągnął się wzdłuż na cztery mile. Ofiary składały się ze zbrodniarzy, buntowników i jeńców wojennych. Jeżeli jakie miasto nie dotrzymało należnéj od niego wierności, brano z niego na zabicie pewną liczbę mężczyzn, kobiet i dzieci. Gdy Kortez raz zapytał się Montezumy, dlaczego nie podbił Tlaskalanów nie uznających jego władzy chociaż z łatwością może to uskutecznić, i skutkiem tego zmuszony jest ciągle z niemi prowadzić wojnę, odrzekł:

— „Wojna z niemi dostarcza mi potrzebnych ofiar na uczczenie bogów, gdybym ją ukończył, gdzieżbym znalazł dostateczną ich liczbę?“

Ofiary znosiły bez narzekania dolę swoją, uważając się za posłańców wyprawionych do boga, który ich przyjmie łaskawie, bo na cześć jego ponosili męczeństwo. Przed zabiciem przystrajano ich i składano podarunki, czasami odbywały się tańce do których i więzień należał, a w ostatniéj chwili życia, powierzano mu ważne zlecenie do bogów. Ofiarę prowadzili kapłani w uroczystéj procesji, powolnym krokiem, przy brzmieniu muzyki i śpiewów obrzędowych. Potém w uroczystéj procesji wstępowali z nią na piramidę, na któréj szczycie stała świątynia, i tam ofiarnik przybrany w czerwony płaszcz kryształowym nożem, przekrawał pierś ofiary, wyrywał z niéj serce, krwią mazał posągi bogów, rozlewał krew w około, albo zarabiał nią mąkę kukurydzy i robił ciasto potrzebne do obrzędu, podobnego do chrześcijańskiéj Eucharystji. Takim widokiem nasycano się pięćdziesiąt razy do roku.

Obok tych krwawych obrzędów, były inne nacechowane prostotą i niewinnością, jakoto procesje połączone ze śpiewami i tańcami, na których młodzieńcy i dziewczęta walczyli o pierwszeństwo w ozdobie i piękności i okazywali nadzwyczajną zręczność. Dziewczyny i dzieci uwieńczone kwiatami, z radosną twarzą niosły pobożne ofiary z pierwiastków pory roku i ogromne kłosy kukurydzy, i paląc wonie składali je przed posągami bogów. Na ofiarę nic wtedy nie zabijano, chyba same przepiórki.

Podług kosmogonji Azteków, świat uległ czterem katastrofom, wśród których wszystko zginęło. Spodziewali się piątéj, a wtenczas wszystko miało zaginąć nawet i słońce. W ostatnich więc dniach roku, na przesileniu zimowém dnia z nocą, obchodzili uroczystość pamiątkową zaguby i odnowienia świata, a to żeby piątą katastrofę odwrócić. W tym celu ostatnie pięć dni roku poświęcone były objawom rozpaczy. Niszczono posążki bożków domowych, gaszono ognie święte, nie rozniecano ognisk, kruszono sprzęty; rodzierano suknie i wszystko pokrywało się żałobą na przyjęcie złych genjuszów, którzy zamierzali zstąpić na ziemię. Piątego dnia wieczorem, kapłani szli w procesji na górę, i prowadzili z sobą najszlachetniejszą ofiarę, jaką można było znaleść między jeńcami. Na wierzchołku góry czekali w milczeniu na chwilę kiedy konstellacja Plejadów zbliży się do zenitu. Gdy ta nadeszła, zabijano ofiarę i przez tarcie zapalano drzewo położone na jéj rozdartych piersiach. Był to nowy ogień który natychmiast podkładano pod stos żałobny, przeznaczony na spalenie ciała ofiary. Skoro stos ogniem zabłysnął, natychmiast ze szczytu świątyń i tarasów na których cały lud oczekiwał, wzbijały się radosne okrzyki, od stosu rozbiegali się gońcy na wszystkie strony, niosąc rozpalone pochodnie i rozdawali nowy ogień który za ich śladem błyskał na ołtarzach i w domach. W kilka godzin potém wschodzące słońce oznajmiało ludziom, że bogowie zlitowali się nad niemi, i że jeszcze ród ludzki nie ulegnie zniszczeniu, lecz żeby okupić ocalenie na czas następny, powinni przestrzegać praw nakazanych od Boga. Po tych dniach pięciu trzynaście dni następnych przeznaczano na radosne uroczystości.

Po opisie tych krwawych ofiar łatwo ocenić stanowisko i władzę kapłanów u Meksykanów. Skoro bogowie domagali się takich obrzędów, jakże kapłani, pośrednicy między niebem a ziemią, nie mieli wrażać posłuszeństwa i trwogi? Byli też bardzo liczni i bogaci, tak dalece że w wielkim kościele w Meksyku, gdzie oddawano cześć wielu bogom, Kortez znalazł przybytków 40 a kapłanów 5,000; wychowanie młodzieży wyłącznie da kapłanów należało, na czele zaś ich stało dwóch arcy-

kapłanów wybieranych przez monarchę i ci mieli pierwszeństwo nad wszystkiemi.

Cywilizacja zatém u Meksykanów w niektórych częściach posunięta była wysoko. Wielu może nie zechce wierzyć temu opisowi, a głównym ich zarzutem będzie teraźniejszy stan krajowców, którzy dziś jeszcze w Meksyku składają większą część ludności. Ich dawny i teraźniejszy byt, są to owe udowodnione fakta, a przegląd na wypadki wytłumaczy nam ich różnice. Jużeśmy powiedzieli, że bogactwo i oświata były udziałem dwóch klass uprzywilejowanych bogatych, duchowieństwa i możnych. Te dwie klassy. skutkiem podboju wyginęły w Meksyku, został więc lud prosty i cząstka upadłéj arystokracji, która się do niego zniżyć musiała, Meksykanie nie mieli książek i pism takich, jak nasze. Rękopisma ich hieroglificznemi i symbolicznemi znakami pisane, służyły do przypomnienia wypadków, albo prawideł moralnych, lecz kto je wykładał młodemu pokoleniu, musiał ich treść i szczegóły mieć w żywéj pamięci. Skoro więc spalono rękopisma, wytępiono kapłanów, nikt nie pozostał, coby pospólstwu przypominał dzieła przodków, ich nauki i umiejętności. Nareszcie i to jest rzeczą najważniejszą, że religja Meksykanów była bałwochwalczą, nie oparta na silném uczuciu moralności. Ich bogi dopóty były otoczone czcią i grozą, dopóki lud wierzył w ich potęgę, lecz gdy ujrzał, że Kortez obcy najezdnik strącił posągi bożyszczkw, rozbił je i zatopił, że spalił ich świątynie, a za to nie uległ niezwłocznéj karze znieważonych bogów, że ani ogień z niebios, ani wzburzone żywioły nie pomściły się za tak ciężką krzywdę, od razu stracił wiarę swoję, uznał że jakiś Bóg potężniejszy zwyciężył i zniszczył ich bogów, poddał się więc przewadze i ich wiarę przyjął za swoją. Pod panowaniem Hiszpanów upadła dzielność tego ludu, a miejsce jéj zajęła obojętność, uległość i bojaźń. Żyje pod lepszemi prawami, wyznaje prawdziwą wiarę, lecz nie przyjął cywilizacji europejskiéj; jest a może przez długie lata będzie ludem odrętwiałym, posępnym i z dnia na dzień żyjącym.

(d. c. n.)

SZARADA.

Drugie, trzecie płyny i *pierwszy* płynie,
Wszystkie służą Pani, albo dziewczynie.

A. T.

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Perkal**).

MODY.

Z pomiędzy sukien wełnianych, przygotowanych na zimę, najwięcéj uważaliśmy kulistych nieodcinanych w stanie zwanych *Gabrjelami.* Robią je w rozmaity sposób, jedne zdobią u dołu nadpowietrznym wolantem, inne przybierają na przodach guzikami, plisami lub ruszami. W magazynie panien Kuhnke, widzieliśmy parę takich sukien, odrobionych nadzwyczaj starannie które tu opiszemy.

Gabrjela z popeliny ciemno brązowéj, z przodu otwierana, zapięta była od góry aż do dołu na pętelki i guziki dane w sposób że po każdéj stronie mijały się kolejno. Guziki te naszyte były na plisie mantynowéj czarnéj, w niejakiéj odległości; po bokach szła druga plisa, od ramion aż do ziemi, zwężona w samym stanie. Nad obrębem ciągnęła się takaż plisa, nie dochodząca do plis podłużnych, lecz zakończona w ząb z każdéj strony. Rękawy ścięte do łokcia, przybrane były u ręki plisą, zawróconą przez środek do ramienia. Dopełniała ozdoby pelerynka czworograniasta, obłożona matyną, od góry zaś do połowy, naszyta pięcioma klapkami, rozchodzącemi się w kształcie wachlarza.

Druga Gabrjela rypsowa, miała u dołu wolant nadpowietrzny, szerokości przeszło pół łokcia, fałdowany w odstępacb, to jest cztery kontrafałdy szły obok siebie, daléj zaś zostawiony był gładki na ćwierć łokcia odstęp. W miejscach gładkich, dane były klapki długie blisko na pół łokcia, obszyte aksamitką, węższe w górze, a u dołu rozszerzone i zakończone grelotkami. Nad falbaną naszyta była cztery razy aksamitka przechodząca przez klapki, które sięgały w górę do najwyższego rzędu aksamitki. Przód Gabrjeli przybrany był guzikami aksamitnemi i naszyty za niemi kilka razy aksamitką. Od szyi na plecy i na przody stanika, spadały dwa pukle mantynowe, pod niemi zaś dosyć długie końce, sięgające prawie do stanu, zakończone frendzelką sznelową z grelotkami, daną trzy razy w niejakich odstępach. Rękawy ścinane do łokcia, miały mankiet mantynowy, zakończony u dołu klapką z grelotkami. Od ramienia spadały trzy klapki odpowiednio przybrane.

Inna znów Gabrjela popelinowa miała przód ubrany wzdłuż trzema ruszami z mantyny boczne rusze sięgały do ramion, i zawracały się wkoło pachy. Na każdym fałdzie ruszy dany był mały guzik metalowy.

W magazynie pani Klementyny znajdują się bardzo ładne kapelusze jesienne, które będą mogły służyć zarówno na zimę, wszystkie bowiem przybrane aksamitem. Odznaczają się w ogóle,

znacznie zmniejszonemi czubami, przez co mniéj są przesadne od zeszłorocznych. Opiszemy je po kolei.

Kapelusz z rypsu jedwabnego gładki z takimże samym karczkiem fałdowanym: na wierzch idzie drugi karczek gładki aksamitny, w kształcie chusteczki obszyty koronką. Na środku ronda chusteczka aksamitna z końcem spuszczonym na podpięcie, ogarnirowana koronką w koło. Podpięcie z białéj blondynki. Z boku wpięty pukiel z szafirowéj wstążki; takież szarfy do wiązania pod brodą.

Kapelusz rypsowy: na rondzie trzy kontrafałdy aksamitne, od nich aksamit przeciągnięty gładko aż do końców. Karczek fałdowany obłożony aksamitem. Podpięcie białe z boku, bukiecik sznelowy fijołkowy nad czołem i szarfy tegoż koloru.

Kapelusz rypsowy objęty aksamitem, z wierzchu gruby węzeł z aksamitu, od którego spada na bok koniec obszyty koronką. Podpięcie z czarnéj koronki pomięszanéj z blondynką, na boku bukiecik z brązowych aksamitnych kwiatków. Szarfy odpowiednie.

Kapotka marszczona *poult de soie*. Z wierzchu ubrana fałdowanym aksamitem. Karczek mantynowy fałdowany, na nim drugi aksamitny. Brzeg ronda klarowny nagarnirowany koronką, wkoło rulon aksamitny. Podpięcie z blondynki, na boku bukiet z karmazynowych aksamitnych kwiatków.

Kapotka z niestrzyżonego aksamitu, *velours epinglé*. Główka fałdowana opuszczona na tył głowy. Rondo przybrane zwyczajnym aksamitem i koronką. Podpięcie białe, nad czołem wstążka szafirowa fałdowana.

U pana Dziechcińskiego widzieliśmy ładne okrycia sukienne i paletoty. Do najmodniejszych należą płaszczyki z pelerynami, z powodu jednak zbytniego ciężaru oznacza się tylko po większéj części peleryna plisą jedwabną, a od ramion rękawy formują przednie jéj części.

Do paltotów używają całkowitych peleryn które i osobno nosić można do sukien. Młode osoby używają jednak powszechnie paltoty bez peleryn wolno puszczone albo wpadające do figury. Wierzchy do salop futrzanych uważaliśmy trojakiego rodzaju: fałdowane lub marszczone do karczka z rękawami średniéj szerokości. Paltoty z rękawami zszywanemi przez łokieć i mankietem wykładanym dosyć wązkie, lub gładkie jak burnus z rękawami długiemi i szerokiemi od ramion naśladujące z przodu pelerynę.

Do gładkich salop ładnie wyglądają małe kołnierzyki tumakowe, gronostajowe albo z krymskich baranków; niemniéj noszone są wiktorynki, zawsze z odpowiednim manszonem.

Salopa fałdowana do karczka wymaga dużego kołnierza dobrać go trzeba odpowiedniéj wartości do pokrycia futra najkosztowniejsze bywają z lisów niebieskich i tumaków, do tańszych należą: nurkowe, skonksowe, popielicowe, junatowe i królikowe.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia popielata z popeliny wełnianéj. U dołu pliski jedwabne naszyte w piramidę, przytwierdzone aksamitnemi guzikami, wkoło plisek czarna koroneczka, krótki paletocik, przybrany odpowiednio. Rękawy ścięte do łokcia zwężone u ręki. Rękawki pod spód półbatystowe, z webowym mankietem, kołnierzyk wyłożony webowy. Kapelusik kastorowy przybrany bukietem róż popielatych, pomięszanych z czarnym wrzosem.

Figura 2. Suknia jedwabna czarna, w broszowany deseń szafirowy u dołu falbaneczka z aksamitki, nad nią aksamitka naszyta w drabinkę, zakończona wąziuchną koroneczką. Stanik gładki, spięty na szmuklerskie guziki. Rękawy wązkie, przybrane od ramion trzema klapkami z aksamitki, u ręki zakończone falbanką, odwrócone w górę klapkami. Mantylka szalikowa, przybrana stosownie do spódnicy. Rękawki białe muszlinowe, kołnierzyk takiż sam haftowany. Kapotka popielata *poult de soie* podpięta białą blondynką.

KORRESPONDENCJA.

Pani J. Malisz. Rękawiczki i gorset przesłano, pozostaje jeszcze w Redakcji złp. 31 gr. 15,— Pani La. Ro. Płaszczyk sukienny z bardzo dobrego materjału kosztuje złp. 200. Paltota dostanie od złp. 120 do złp. 166 gr. 20.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Warszawa dnia 14 Listopada 1863 roku.

JAN HALIFAX

POWIEŚĆ M.ss MULLOCH

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO.

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

Sala rzeczywiście, jak mówił Janek, była po prostu klepiskiem od stodoły. Leżała ona w ciasnéj uliczce, zapełnionéj mnóstwem powozów, zacząwszy od karet sześciokonnych, aż do lektyk, przesuwających się między ściśniętym tłumem. Jedni drugich popychali i bili — wrzawa panowała okropna.

Ostróżnie Janku, zawołałem, chwytając go za rękę.

— Bądź spokojny, oprzéj się o mnie, mam dosyć siły, aby cię utrzymać.

Gdybym był kobietą, nie byłby mnie tkliwszém otoczył staraniem, Opatrzność hojnie nagrodziła mi słabość fizyczną, dając mi takiego przyjaciela.

Duszno mi było w pośród tłumu, spojrzałem na dalekie wzgórza i jakże wydawały się spokojne i ciche w ten uroczy wieczór czerwcowy. Jakżebym pragnął być już w domu.

Nagle powstał szmer; jakaś lektyka zbliżała się zwolna, usiłując przedrzéć się przez tłum ludzi. Jeden z lektykarzy, potrącony upadł na ziemię, i w téj chwili kobieta wychyliła głowę przez okno.

Rysy jéj twarzy, pełne były wyrazu; nos orli, oczy wielkie czarne, usta wypukłe, kształtnie zarysowane, wszystko to tworzyło uroczą całość. Nadzwyczaj była blada.

— Puśćcie mnie przyjaciele zawołała, jestem Sara Siddons!

Tłum rozstąpił się na bok. Powietrze zadrżało od tysiąca oklasków. Pani Siddons skłoniła głową z uśmiechem na znak podziękowania. Jakiż to był uśmiech czarowny!

— Oto chwila stanowcza, rzekł Janek, trzymaj się mnie. To mówiąc pochwycił za drągi od lektyki, i w mgnieniu oka byliśmy w teatralnym przedsionku.

Pani Syddons wysiadła, obróciła się chcąc zapłacić lektykarzy. Wysoka majestatyczna, osłonięta szerokim płaszczem, wyglądała jak prawdziwa królowa.

Gdy jeden lektykarz hojną otrzymał już zapłatę; zwróciła się potém do Janka.

— Przykro mi rzekła, żeś pan zadał sobie tyle trudu. Przyjmij to odemnie w nadgrodę.

— Janek wziął pieniądze do ręki, wybrał sztukę srebrną resztę oddał.

— Schowam to pani, rzekł na pamiątkę zaszczytu, jaki mnie dziś spotkał, żem mógł usłużyć pani Siddons.

Zwróciła nań wielkie czarne oczy.

Dziękuję panu, rzekła z powagą, i odeszła.

W kilka minut potem dozorca teatru stosownie do rozkazu pani Siddons przybliżył się ku nam i zaprowadził na najpierwsze miejsce w sali.

Byliśmy prawdziwie upojeni! dziś jeszcze po tylu latach, stara krew kipi mi w piersi, na wspomnienie tego wieczoru!

Zanim podniesiono kurtynę, mieliśmy czas rzucić okiem po sali, był to nowy dla nas widok. Cały wyższy świat miasta Coltham był tam zgromadzony. Kobiety przybrane w brylanty, pióra, kwiaty i różnobarwne stroje, uroczy tworzyły obraz. Był to czas zupełnego przeobrażenia mody. Starsze panie trzymały się wiernie szerokich spódnic jedwabnych o długich stanach, gdy tymczasem młode, naśladując francuzki obyczaj, stroiły się w suknie z lekkiego muslinu z krótkim stanem i wąziuchną spódniczką. Słyszeliśmy nieraz, jak Joanna piorunowała przeciw téj modzie.

Janek i ja byliśmy także zdania, że nie przystawało młodym Angielkom ślepe naśladownictwo narodu, w którym kobiety ubierały się w ówczas na wzór bogiń pogańskich, z gołemi od ramion

rękoma, i nogami w koturnach. Nie zachowawszy prostoty starożytnéj, utraciły tym sposobem godność i powagę nowoczesną. Co do nas, którzy w prostodusznêm uwielbieniu dla kobiet, marzyliśmy w każdéj z nich Juljetę lub Dezdemonę, nie byliśmy wcale zachwyceni, sztuczną postawą modnych dam z Cotham, ich udanym uśmiechem.

Ale otóż podniosła się kurtyna.

Któż nie słyszał o Sarze Syddons w roli Lady Machbet. Dziś po latach pięćdziesięciu, ta trajedja piérwsza i ostatnia jaką w życiu widziałem, odbija się wyraźnie w méj pamięci. Widzę jeszcze tę wielką artystkę, przeistoczoną żywcem w Lady Machbet. Widzę ją w pierwszym akcie, kiedy czyta list; słyszę ten głos drżący i badawczy, który przenikał słuchaczów mimowolnym dreszczem. Ów okrzyk rozdartego serca brzmi dotąd w głębi serca mego. „Wszystkie wonne balsamy Arabji, nie obmyją téj ręki!”

Niewiele powiem o panu Karolu. Z uśmiechem spojrzeliśmy z Jankiem na siebie, ujrzawszy go w roli wspaniałego Makbetha. Grał dobrze rolę, nie mogliśmy jednak zapomnieć o rzepie, i o rannym kazaniu z fury siana, a kiedy podczas sceny Banka z czarownicami, mrugnął na nas okiem, stracilismy od razu wszelki urok.

Po trajedji miała nastąpić jakaś krotochwila; nie chcąc pozostać dłużéj, wyszliśmy z teatru i zapuścili się w ciemne uliczki miasta. Janek dźwigał mnie prawie, tak byłem bezsilny i zmęczony. Zatrzymaliśmy się chwilę pod latarnią.

— Janku zawołałem słabym głosem.

— Czy ci zimno? zapytał niespokojnie i otulił mnie ze zwykłą troskliwością.

— Mieliśmy rzekł po chwili dwie godziny uciechy; przeszły jak sen, teraz potrzeba je okupić. Radbym wiedział która godzina?

Zegar z wieży kościelnéj odpowiedział wśród głuchéj ciszy nocnéj: policzyłem godziny, wybiła jedenasta.

Spojrzeliśmy na siebie przy połysku latarni. Jak tu powrócić nocą do Norton-Bury? Siły mnie odstąpiły, nogi drżały pedemną.

— I cóż zrobimy Janku?

— Co zrobimy? nia ma się co namyślać. Nie możesz iść piechotą, najmijmy kabrjolet. Mam przy sobie całomiesięczną zapłatę, patrz...

Sięgnął do kieszeni, i zbladł nagle jak ściana.

— Gdzież moje pieniądze? zawołał drżącym głosem.

Niestety! okradziono go w tłumie. A ja nie miałem nigdy przy sobie ani pensa! pieniądze dla mnie były rzeczą zbyteczną.

— Może nam kto zaufa podsunąłem.

— Nigdy nie prosiłem nikogo o kredyt, odrzekł Janek, wyśmieją nas jeszcze. A jednak sprobuję, zaczekaj powrócę tu zaraz.

W chwilę potém wrócił z przymuszonym uśmiechem.

— Daremnie mój drogi, rzekł, nie wyglądam jak widać na uczciwego człowieka. Co tu robić?

Trudne było w rzeczy saméj położenie.

Nie należy nam tracić ani chwili, rzekł stanowczo Janek. Twój ojciec może myślić, że nam się stało co złego. Chodźmy, będę cię podpierał.

Głos jego krzepki ożywił mnie, ująłem go pod rękę, przeszliśmy prędko miasto i część drogi. Powietrze świeże było i przyjemne. Janek mówił mi o gwiazdach, od niejakiego bowiem czasu oprócz innych nauk, zajmował się i astronomją. Następnie rozmawialiśmy o wypadkach dnia tego. Nie czułem prawie utrudzenia.

Ale pomału zacząłem ustawać, nogi mnie nie słuchały, powietrze nie wywierało już zbawiennego wpływu. Janek objął mnie przez pół i szliśmy tak czas jakiś.

— Zbieraj siły mój drogi, rzekł Janek, niedaleko stoją na łące kopy siana, odpoczniesz sobie trochę. Godzina mniéj więcéj, nic nie znaczy, przybędziemy do domu przed świtem.

Nie miałem siły odpowiedzieć; byłem pewny, że nie dojdę nigdy do domu, powlekłem się jeszcze chwilę, oparty na ręku Janka, a potem, gwiazdy, pole, łąka, ślad drogi, słowem wszystko znikło mi z przed oczu. Straciłem zupełnie przytomność.

Kiedym przyszedł do siebie, leżałem przy strumieniu nad drogą; głowę trzymałem na kolanach Janka. Rościerał mi skronie i czoło; nie widziałem go, lecz jęk stłumiony dobiegał mi do ucha.

— Janku uspokój się rzekłem.

— O mój drogi, sądziłem żem cię zabił.

— Umilkł, a łzy pobiegły mu po twarzy.

Chciałem wstać, słaby brzask ukazał się na niebie.

— Jakto już dzień, dalekoż mamy do domu.

— Bardzo blisko, zaczekaj wezmę cię na ręce.

— Niepodobna.

— Niosłem cię już nie mały kawał drogi. Pozwól tylko. To mówiąc porwał mnie w objęcia i szedł odpoczywając kilkakrotnie.

Rozwidniało się coraz bardziéj. Już zorza zrumieniła niebo, kiedyśmy stanęli przed domem.

— Chwała Bogu, rzekł Janek, stawiając mnie pod bramą. Otóż i dom.

— Chodź i ty ze mną, rzekłem, przecież mnie nie opuścisz.

Zastanowił się chwilę.

— Tak jest, zostanę z tobą.

Spojrzeliśmy na dom niespokojnie. Nikt nas nie czekał, okiennice były zamknięte, wszystko pogrążone było w śnie głębokim. Głuchy dzwięk młotka, pozostał chwilę bez odpowiedzi.

— Kilka minut oczekiwania, wydało mi się wiekiem.

— Nie trać odwagi, szeptał Janek, przyjmę wszystko na siebie. Nie popełniliśmy przecie zbrodni, a szaleństwo nasze ciężko już odpokutowane.

Ojciec otworzył drzwi nakoniec. Ubrany był jak zwykle; twarz jego nie okazywała wzruszenia. Czy się całą noc nie kładł? Czy był o mnie bardzo niespokojny? Nigdy się o tém nie dowiedziałem.

— Nie wyrzekł ani jednego słowa: kazał nam wnijść, i zamknął drzwi za nami. Zrozumieliśmy od razu że mu wszystko wiadomo. Tak było w rzeczy saméj: sąsiad, który wrócił powozem z Coltham, powiedział ojcu, że mnie widział w teatrze, w miejscu, gdzie syn kwakra nie powinien postawić stopy.

Ojciec otworzył okiennice w sali, aby nas tym bardziéj zawstydzić przy dniu białym.

— Fineasie, gdzieś był? powiedz zaraz.

— Na tearze w Coltham, odrzekł za mnie Janek. Moja w tém wina, poszedł, bo wiedział, że mi sprawi przyjemność.

— A dla czego pragnąłeś tam iść?

Dla czego? trudna była odpowiedź.

— O panie Tlecher, zawołał Janek, czyś pan nigdy nie był młody?

Ojciec nie odrzekł nic, Janek nabrał odwagi.

— Moja w tém wina, powtórzył. Zbłądziłem, widzę sam, lecz pokusa była tak wielka! życie moje tak jednostajne, że czasami mogę zapragnąć odmiany.

— Będziesz ją miał!

Zimny i powolny głos ojca, przejął nas niepojętą trwogą.

— Długoż układałeś ten plan Janie Halifax?

— Nie całą godzinę. Ochota przyszła w mgnieniu oka.

— Ojciec skinął głową z pogardą i niedowierzaniem.

— Panie Tletcher, wszakże nie skłamałem jeszcze ani razu. Jeśli ja nie mam wiary, zaufaj pan synowi. O mój drogi, zawołał, przybiegając do sofy na któréj leżałem; jakżem ja był okrutny względem ciebie!

Chciałem się uśmiechnąć, nie mogąc wyrzec słowa.

Ojciec odtrącił go z daleka,

— Młodzieńcze! zawołał, sam będę miał o nim staranie. Odtąd nie będziesz go kusił do złego. Idź ztąd zawiodłem się na tobie.

Gdyby ojciec uniósł się był gwałtownym gniewem, gdyby nas gromił najzelżywszemi wyrazami nie byłby nam tyle dokuczył. Ale ten zimny, nieodwołalny wyrok: „Idź ztąd, zawiodłem się na tobie,” stokroć był dla nas straszliwszy.

Janek spojrzał na ojca wzrokiem, z którego ustąpiła wszelka duma.

— Powtarzam raz jeszcze, zawiodłeś moją ufność. Widziałem w tobie porządnego młodziana, wierzyłem ci zupełnie. Dziś nawet, stosownie do chęci mego syna, miałem cię przypuścić do współki w moim handlu. Teraz...

Nastąpiła chwila milczenia.

— Zasługuję na karę, rzekł Janek. Czy mam się natychmiast oddalić.

Ojciec zastanowił się chwilę, rzucił okiem na stojącego pwzed nim młodziana.

— Nie, tego nie żądam, przynajmniéj nie teraz rzekł surowo.

Krzyknąłem z radości. Janek przybiegł uścisnąć mi rękę.

— Więc pozostaniesz z nami, zawołałem!

— O tak, będę mógł obmyć się z winy w oczach ojca twego; bądź spokojny nie opuszczę cię.

— Musisz to uczynić przerwał ojciec. Powtarzam ci synu, dodał zwracając się do mnie, nie obwiniam go ani o występek, ani też o nieuczciwość, ale potępiam zato, że uległ nikczemnie pokusom świata, że cię pociągnął złym przykładem. Dla tego zatrzymuję go jako kommissanta, lecz nie będzie już towarzyszem syna mego. Nie, nigdy!

Wiedziałem, że ojciec nie odwoła wyroku, a jednak usiłowałem zmiękczyć go rozpaczliwem błaganiem. Ale wszystko było daremném.

Janek milczał.

— Uspokój się rzekł nakoniec cicho, ojciec twój ma słuszność, sądząc ze swego stanowiska. Dozwól mi odejść, może kiedyś powrócę.

— Narzekałem gorzko, ojciec mało na to zważał. Otworzył drzwi, przywołał Joannę.

Pożegnałem tymczasem Janka.

— Bywaj mi zdrów, rzekłem, nie zapominaj o mnie.

Nigdy, zawołał; dopóki żyć będę, pozostaniemy przyjaciołmi. Bądź zdrów Fineas!

Ojciec dotrzymał słowa; pozostawił Janka w garbarni, ale od dnia tego, lubo niekiedy słyszałem o nim, przez lat dwa nie widziałem go ani razu.

VII.

Było to w roku 1800, który długo w Anglji nazywano *the dear year*, drogim rokiem. Obecne pokolenie, nie może sobie wyobrazić nawet téj epoki, w któréj wojna, głód, i rozruchy ludowe, dręczyły kraj nieszczęśliwy. Niesprawiedliwość i samowola podkopały przepaść pomiędzy klasą możną a ubogim ludem. Bogacze ciemiężyli biednych, ci zaś nienawidzili bogaczów, korząc się jednakże przed niemi. Ani jedni ani drudzy nie mieli dosyć religijnéj wiary, aby zatrzeć śmiało ową linję demarkacyjną i dowieść, ci że byli ludźmi, tamci że znali obowiązki jakie nakładało na nich urodzenie i wyższość intellektualna.

Takie zawichrzenia panujące wszędzie dały się niebawem uczuć i w Norton-Bury. Co do mnie mało mnie one dotykały osobiście; widziałem je tylko krążące zdaleka, jakby drapieżne ptastwo w koło rodzicielskiego dachu, gdzie przyzwawszy na pomoc cierpliwość, smutne trawiłem godziny. Ostatnie dwa lata ciężkie były dla mnie, lubo skutkiem fizycznych cierpnień, mało mówiono mi o sprawach tego świata; przeczuwałem jednak, iż źle szły rzeczy, tak w domu, jak po za domem. Joanna skarżyła się po cichu na brak pieniędzy, i rada była gdy mogła związać koniec z końcem. Czoło ojca pokrywało się chmurą; widząc go ciągle w złym humorze, nie śmiałem prosić o powrót Janka.

Był on zawsze komissantem ojca mego; sądziłem nawet, że miał do spełnienia ważniejsze niż dawniéj obowiązki; mówiono mi, że jeździł po całéj Anglji za kupnem zboża; ojciec bowiem kupił młyn za ogrodem, i zajął się gorliwie tą nową gałęzią przemysłu. Rzadko kiedy wspominał imię Janka, ufał mu zupełnie w interesach handlowych, z resztą był nieprzebłagany.

Janek równą okazał zaciętość; mimo pryjaźni dla mnie, nie chciał mnie widywać pokryjomu. Wiedziałem, że nie przestąpi progów domu, dopóki nie będzie mógł uczynić tego jawnie z całą godnością. Dwa razy tylko pisał do mnie w dnie uroczyste moich urodzin; sam ojciec oddał mi otwarte listy. Pisał, że zawsze zastanie przyjacielem moim.

Uważałem także, iż mały chłopiec, który odziedziczył po Jakóbie i Janku wózek ze skórami, często pojawiał się w domu jako posłaniec. Był to Jerzy młodszy syn Sally Watkins, chłopiec roztropny i sprytny, jak mówiła Joanna. Kiedym go spotkał, czy to w domu, czy w ogrodzie, służył mi gorliwie, uprzedzając wszelkie moje życzenia. Sam nie wiedziałem, co to znaczy, późniéj dopiéro odgadłem tajemnicę.

Lato posuwało się, żniwa zbliżały, biedny lud poglądał z trwogą na nędzne urodzaje.

— Co to będzie, mówiła Joanna, dopiéro lipiec a bułka chleba ważąca zaledwie cztery funty, kosztuje trzy szylingi.

I poglądała ukradkiem na nasz młyn, którego koła spoczywały codzień jak w święto, ojciec bowiem, przewidując że zbiory będą gorsze jeszcze jak przeszłe, chował zboże na potém. Joanna kiwała na to głową. Jednego razu, w dzień targowy przybiegła z pośpiechem mówiąc, że lud zebrał się tłumnie przed młynem, i odszedł dopiéro w skutek przemowy Halifaxa. Odtąd wzbroniła mi przechadzki ku opactwu, całą też rozrywką moją był ogród, gdzie siadełem pod murem, poglądając na spokojny bieg rzeki Awon.

Jednéj niedzieli, było to 1 Sierpnia, ojciec powrócił późniéj niż zwykle ze zboru, odwiedził bowiem na cmentarzu kwakrów grób matki, jako w rocznicę ślubu swego. Téj niedzieli poznałem, iż rzeczy wzięły zły obrót. Ojciec siadł do stołu ponury i zamyślony, oprócz niespokojności moralnéj, cierpiał on także na podagrę.

Doktór Jessop przybył po obiedzie, odszedłem do ogrodu i siadłszy no ulubionéj ławce poglądałem na łąki i pola, rozciągające się po za rzeką. Zboże jeszcze zielone, leżało na zagonach, poukładane w drobne snopki.

Po odejściu doktora, ojciec przysłał po mnie, kazał także przywołać domowników. Mały Jerzy wsunął się nieznacznie za Joanną.

Odgadłem natychmiast, że ojciec w złym humorze, fajka bowiem leżała na stole, obok nietkniętéj szklanki piwa.

Zwrócił się naprzód do Joanny.

— Kobieto, rzekł, czyś ty gotowała dziś obiad?

— Skinęła głową w sposób potwierdzający.

— Nie powinnaś dawać nam takich obiadów: zaniechajmy ciast i zbytkowych łakoci. Niech sąsiedzi nie powiedzą, że w domu Abla Tleczer panuje obfitość, kiedy głód trapi kraj cały.

— Oszczędzam się jeszcze jak mogę, rzekła Joanna, nie trwonię napróżno pieniędzy, i szczerze lituję się nad ubóstwem. Zeszłéj niedzieli kobieta jedna wyrzucała mi, że marnuję mąkę na krochmal, dziś patrzajcie jak wyglądam.

(d. c. n.)



TYGODNIK MÓD

w Warszawie